№ 16. Warszawa, dnia (4) 16 Kwietnia 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu i szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz i szpaltowy garmontu kop. 50.

O zmierzchu.

Po gwarze dziennym lubię ciszę i spokój szarej godziny. Jest to chwila, w której wzburzone fale żywota zdają się układać do równowagi. Dobrze jest dumać wtedy, nim znowu żyć się zacznie sztucznem, gorączkowem życiem wieczoru. Szaro dokoła, cicho... majaczące w półmroku sprzęty zdają się spoglądać na mnie ze „spokojem i uwagi pełnem milczeniem rzeczy martwych,“ jak wyraża się pewien autor przedmowy, umieszczonej na czele katalogu pewnej wystawy obrazów.

Chciałbym widzieć te obrazy. Podobno głównemi ich cechami: spokój, prostota, melancholia poważna—męzka. Podobno dusza ich twórcy, chyląca się wyraźnie choć nieśmiało jeszcze ku mistycyzmowi, lubuje się w pełnych wymowy milczeniach, w rzeczach napółwyrażonych i napółwyrażalnych. Podobno wreszcie jest to dusza „szlachcica polskiego — wielostronna, spokojna, pogodna i melancholijna zarazem, jak nasze równiny dalekie, dusza szczera, prosta, głęboko namiętna, a jednak doskonale zrównoważona, dusza jednocześnie jasna i mistyczna, chyląca się ku głębiom ukrytym, ale nie gubiąca się nigdy w mgłach niepewnych bezkształtnych i bezkolorowych—jednem słowem dusza potężnie syntetyczna.“

Nie wiem coby tam na taką definicyę duszy szlachcica polskiego powiedział Słowacki np. który widywał ją zamkniętą w „czerepie rubasznym.“ Ale mniejsza o to.

Tym malarzem szlachcicem jest M. W. Slewiński, a utorem przedmowy znany pisarz Zenon Przesmycki (Miriam).

Wystawa obrazów Ślewińskiego otwarta w Paryżu 26 Marca w *Galerie Thomas* zawiera 31 płócien. Niemały to już dorobek na młodego artystę.

Oto w jaki sposób o niektórych z nich mówi Miriam. „Jakiż spokój niezmierny w tem wspaniałem „Po zachodzie słońca,“ jaka pogoda w nostalgicznej i namiętnej apoteozie ostatnich blasków życia w małym krajobrazie jesiennym!

Nad morzami twemi—ciągnie dalej obyczajem francuzkim, zwracając się do artysty — unoszą się olbrzymie milczenia, których zakłócić nie są w stanie rytmiczne tany drobnych fal, biegnących ku piaskom wybrzeża, ani nawet gniewy bałwanów, rozbijających sie o rafy podwodne. Tylko jakiś niewidzialny dreszcz z tajemniczej idący głębiny, tylko uśmiech różowy chmury wieczornej, przenikają od czasu do czasu niezmierną ciszę tych przestrzeni bez końca, których szmaragdy gdzieniegdzie spływają w szafir ametystów.“

Chciałbym widzieć te obrazy.

Tymczasem przebiegam jeszcze raz myślą po francuzku napisaną przedmowę Przesmyckiego, z mimowolnym uśmiechem zatrzymuję się przy wyrazach: *ma foi, je te reconnais âme du gentilhomme campagnard polonais*, które w obcym języku szczególniej jakoś dla mnie brzmią, i domyślam się z uznania, jakie ma Przesmycki dla prac Ślewińskiego, że przybył nam nowy, niepospolity talent malarski.

Cieszy mnie to, ale nie dziwi bynajmniej. Czemu? Bo przepełnił duszę moją pychą przejaw geniuszu naszego w postaci Szczepanika, czy Szczepaniaka (Warszawa nie wie dotąd napewno jak się ten genialny człowiek nazywa). I już teraz ani wątpię, ani dziwię się, gdy mi pokażą nową gałąź kwiecistą na młodem, silnem, ale burzami starganem drzewie naszem, wyrosłą.

Ej, bujnaż ej, rodzajnaż to ta rola, której plonem ładowne statki pływały niegdyś po morzach dalekich.

Zamajaczyła mi przed oczami postać siewaczki niestrudzonej, ubogiej służki z nad Nidy, Małgorzaty Raciborskiej, o której zgonie doniosły niedawno pisma.

Przez lat pięćdziesiąt dzieliła ona z uboższymi duchem jedyny skarb, jaki posiadała, umiejętność pisania i czytania. W ciągu tych pięćdziesięciu lat, czterysta dziewięćdziesiąt sześć głów przejęło od niej tę sztukę.

Nie tyle sam fakt jest znaczącym, ile to samorzutnie w duszy młodej dziewczyny wiejskiej powstałe poczucie, że pierwszym uczynkiem miłosiernym jest „nieumiejętnych nauczać.“ Zaprawdę, ten grunt jest dziwnym i różne tajemnice kryje jeszcze w sobie. Nie znamy my, oj nie znamy głębin tych dusz prostych, pozornie tak mało zajmujących.

Chciałbym rzucić tu pytanie. Co łatwiej? Czy ubogiej pracownicy wieczory poświęcone na spoczynek oddawać młodszym braciom, i stare oczy nad elementarzem nachylać, czy też będąc człowiekiem bogatym lub zamożnym, dać jednorazowo około trzystu rubli na założenie we wsi gospody? Mojem zdaniem to drugie jest o wiele łatwiejsze, a jednak jakoś niesporo biorą się ludziska do tego. Prawo monopolowe usunęło z wiosek karczmy. Gdzież tu teraz pójść człowiekowi wiejskiemu w niedzielę, gdzie popuścić wodze wrodzonej mówności, gdzie wyciąć hołubca, gdzie poskakać dziewuchom?

Postanowiono karczmy zastąpić gospodami, czy izbami gościnnemi, czy jakby tam taki nowy przybytek nazwać się godziło.

Słyszałem o założeniu jednej takiej gospody przy trakcie prowadzącym z Nieszawy do Radziejowa. Założycielką jest właścicielka sąsiedniej wsi p. Marya Wolska.

Gospoda podobna odpowiadająca wszelkim wymaganiom, połączona ze sklepem, poświęcona została 12 Lutego i nieźle wiedzie jej się, jak mówią, tylko sprzedawanej w niej herbaty lud spijać nie chce. Wolałby piwo, zostawiając herbatę literatom na ich five o'clocki.

Nie byłem tam, nie wiem, ale tak sobie myślę, że gospoda na wsi powinna być za-

opatrzoną w przedmioty, pobudzające wrodzoną ciekawość wieśniaka, i mogące wpłynąć dodatnio na jego rozwój umysłowy, a więc: zegar, termometr, barometr, obrazki z historyi świętej, z dziejów ludzkości, pisma ludowe i t. d., i t. d. Takie rzeczy przywabiają nawet niechętnych, nawet tych, którzy po zniesionych karczmach nieutuloną w sercach swoich czułych noszą żałobę.

Ale najważniejszą w tem wszystkiem rzeczą jest osobistość kierownika, czy kierowniczki takiej gospody. Powinni to być przedewszystkiem ludzie nieposzlakowanej moralności, bardziej oświeceni od swoich klientów, ale nie odbiegający znów zbyt daleko od ich umysłowego poziomu, ludzie znający społeczność wiejską, rozumiejący jej potrzeby, pojmujący przyczyny jej wad i niedostatków, ludzie gorącego serca i trzeźwego umysłu.

Do takiej gospody schodziliby się gospodarze nie po pijaństwo i rozpustę, ale po pogawędkę sąsiedzką, po radę rozumną, po rozjaśnienie niejednej wątpliwości, po odpędzenie ohydnej może pokusy, po zabawę wreszcie godziwą i przyzwoitą, będącą także bardzo silnym czynnikiem cywilizacyjnym. W takiej gospodzie powinniby się ukazywać czasem i przedstawiciele dworu, i plebanii...

Z dumek moich wyrywa mnie jakby dalekie echo jakiegoś złowrogiego huku. Nie, to nie echo nawet, to tylko wspomnienie. Licho jakieś przywiodło mi na myśl te coraz częstsze w Warszawie katastrofy przy budowie domów.

Od pewnego czasu z obawą przechodzimy koło t. zw. fabryki. Co parę tygodni, czasem co parę dni dochodzi nas wieść, że ten lub ów ze wznoszonych domów zawalił się, przygniatając gruzami swymi mniej lub więcej liczne ofiary.

Ludziom fachowym wiadomo, że każda taka katastrofa jest wynikiem niesumienności kierujących robotami.

X.

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Pojechał tedy Kazio, ale już czwartego dnia był z powrotem.

— No i cóż. Jakżeś się bawił?

— A dobrze. Kasztankę przehandlowałem z panem Piotrowskim. Wziąłem karą i trzydzieści rubli.

— No, a panna podobała ci się?

— Panna — jak wszystkie. Robi herbatę, rozmawia o książkach, narzeka że wieś nudna, trochę gra, trochę ogrodem się zajmuje.

— A ładna?

— Nie w moim guście.

— Więc przecie masz swój gust. A była jaka odpowiednia? Tańce były?

— Były. Kręciłem wszystkie po kolei, alem żadnej nie zapamiętał. One się siłą być jedne do drugich podobne. Jakby kto katalogi różnych fabryk maszyn przeglądał. Wszędzie to samo. Żeby im naznaczono konkursa prób jak maszynom, a tak siedzą rzędem pod ścianą, i kto ich tam pozna, dobra czy zła—po etykiecie i po cenie.

— Bardzo jeszcze jesteś głupi i smarkacz!— burknęła pani Taida, nie rada z eksperymentu.

Cztery dni nie miała koni, wróciły zdrożone, koło w bryczce trzeba było przeciągać, furman jakiś zbuntowany — i wszystko to, żeby w rezultacie ten dziki chłopak porównywał panny do młocarni lub drapacza. Stanowczo jest jeszcze za głupi i nieokrzesany.

Rozgniewał ją, i raptem przypomniała sobie mały z nim rachuneczek do załatwienia.

— Powiedz-no, zapomniałam dotychczas cię spytać, pocoś ty po wakacyach jeździł do Genewy.

— Na wystawę inwentarza! — odparł najspokojniej.

— Aleś Stasię Ozierską wynalazł.

— To nie było trudno. Ona tam się uczy.

— Cóż to — może to ta jest w twoim guście?

Kazio popatrzył na matkę z wyrazem zupełnie szczerego zdziwienia. Można było ręczyć, że sam sobie nawet tego pytania nigdy nie zadawał.

— Albo ja wiem. Nigdy o niej jak o kobiecie nie myślałem! — odparł.—Ona tak do innych nie podobna.

Pani Taida była znowu ze siebie niezadowolona.

— Masz tobie! Jeszcze gotów zacząć myśleć! — rzekła sobie w duchu, a głośno:

— No, chyba że taki dziwoląg niema wielu sobie podobnych—szczęściem! W normalnych warunkach dla takiej niema miejsca! Chodźmy obejrzeć tę karą klacz!

Po tej próbie odłożyła zamiar małżeństwa do przyszłego roku.

Znowu lato jak sen minęło. Było dla Rudy pomyślne. Przed zimą pełne były stodoły i brogi, piękne runie, ceny zapowiadały się dobre, tylko pani Taida została znowu samotną na długie wieczory, słoty i mrozy. Włodzio ją odwiedził w Październiku, ale długo nie mógł bawić. Zresztą ten nie był żadnem wyręczeniem i pomocą.

— Ale mam dla mamusi ideał towarzyszki — rzekł raz — wśród opowiadań o swych stosunkach towarzyskich.

— Twoja rekomendacya wcale nie wzbudza we mnie wiary i zaufania. Próbowałam już różnych samodzielnych kobiet. Dziękuję!

— To wcale nie jest samodzielna kobieta. Ma ojca, matkę, rodzeństwo i narzeczonego, i nawet nie uboga. Narzeczony kończy prawo—czekają na siebie. Bezczynność i powietrze miejskie jej nie służy. Zupełnie bezinteresownie zajęłaby się tutaj. Jak mama się zdecyduje, proszę do mnie słówko napisać, a ja rzecz załatwię.

— Może się obejdę. Kazio na przyszły rok wróci, ożeni go.

— Oho, tak się to mamie wydaje łatwo. Czemu mama o mnie nie pomyśli, ja starszy i gotów choć jutro do ołtarza, a Kazia mama nie namówi.

— To się mylisz. Kazio zrobi co zechcę, a ty gotóweś zrobić, co ja nie zechcę.

— No, zobaczy mama, jak nas fałszywie sądzi.

— Cóż to za zagadki. Wiesz co o Kaziu? To mów.

— Mnie się zdaje, że on się kocha w Stasi Ozierskiej.

— Pleciesz jak na mękach! — oburzyła się.

— Tylko ona go nie chce!—dokończył niezrażony.

— Zkądżeś to wysnuł. Chyba nie z ich zwierzeń!

— Nie. Mam przeczucia i obserwuję.

— Et!—machnęła ręką pani Taida.

Zamyśliła się i spytała.

— A ta twoja protegowana ma jaki taki ład w głowie?

— Ależ jaknajlepszy. Zupełnie przyzwoita i miła panienka. No i ładna, i wesoła, ale zakochana w swym Karolu i nie zalotna. Seryo mówię, taby się mamie podobała i dogodziła. Proszę spróbować na czas jakiś.

— Czemże się ona zajmuje?

— Daje lekcye.

— A ten jej Karol gdzie?

— W Kijowie, na uniwersytecie.

Więcej pani Taida nie pytała.

Ale około Nowego Roku napisała do Włodzia.

„Jeśli ta panna, o której wspominałeś jest do wzięcia, to spróbuję raz jeszcze. Naturalnie za wynagrodzeniem miesięcznem! W całoroczną wytrwałość już nie wierzę."

W kilka dni potem przyszła depesza od Włodzia, że panna już jest w drodze. Posłano po nią konie do kolei, ale nie zjawiła się na dzień oznaczony. Dopiero nazajutrz zaniepokojona pani Taida zobaczyła swój zaprząg pod gankiem. Wysiadła dziewczyna młoda, blada, anemiczna, tak wzruszona, że drżała i nie mogła się odezwać.

— Dlaczego pani wczoraj nie przyjechała? — spytała pani Taida po przywitaniu.

— Pociąg się opóźnił i furman mnie objaśnił, że nie zdążymy przed nocą. A ja się tak okropnie boję jechać w nocy.

— Czego? droga prosta i szeroka.

— Ale wilki mogły napaść i zbójcy po lasach. Tak sama, tyle mil... Nie mogłam się odważyć. Przenocowałam na stacyi.

— Pani chyba nigdy z miasta nie wyjeżdżała.

— Owszem. Co rok wyjeżdżamy na letnie mieszkanie.

— To chyba tam widziała pani wilki i zbójów, bo tu tego nie znamy.

— A furman mi opowiadał, że często je spotykał, i raz go omal nie pożarły.

— Plótł bajki, żeby panią zabawić.

— Niemiłosierny, a ja drżałam z bojaźni!— uśmiechnęła się panna uspokojona.

Pani Taida wprowadziła ją do jadalni i zaprosiła do stołu.

— Dziękuję pani, nie głodnam, i mam tak szaloną migrenę ze wzruszeń i zmęczenia, że tylko marzę o spoczynku.

— Niechże się pani w swoim pokoju rozgości i położy.

Nowoprzybyła zgodziła się chętnie, a miała w sobie nielada wdzięk, kiedy pani Taida pozostała chwilę w jej pokoju, gawędząc, a potem zajrzała raz jeszcze, i słysząc, że nie śpi, spytała jak się czuje.

— Bardzo mnie głowa boli—odparła łagodnie dziewczyna.

— Często pani na to cierpi? — zagadnęła pani Taida, siedząc przy łóżku.

— O bardzo często. Wogóle marne mam zdrowie!—westchnęła.

— Trudno pracować w takich warunkach.

— Mam nadzieję, że mi wieś posłuży! Tak bardzo jestem wdzięczna pani za łaskawą propozycyę. Ze wszystkich sił będę się starała dogodzić.

— No, no—nic! Niech pani stara się zasnąć i nie bierze tak bardzo do serca swych obowiązków. Nie zakatują tu pani.

Pogładziła ją po głowie, i wyszła.

Tego wieczora zapisała w swej szarej księdze.

„Zdaje mi się, że zamiast wyręczenia Włodzio mi przysłał pacyentkę, której nie mógł w mieście nic pomódz. Będę dozorczynią swojej pomocnicy! Oto jest wybór doktorski. Ale ta jest pierwsza, która mi się podobała, wzięła za serce. Dobre musi być stworzenie, a takie wątłe i blade, że ochota bierze odpaść, jak zamorzone cielę.

„Ale, wielki Boże, co też tym kobietom w głowach świta z tą samodzielną pracą, z tą walką o chleb! Konia kują, a żaba nogę nadstawia! Krwi to niema, muskułów nie ma, cienkie, chude, wątłe, ale bierze się za bary z życiem, i chce sama podołać!"

(Dalszy ciąg nastąpi).

Nowe Ateny
w Ameryce Północnej.

Korespondencya literacka z Paryża

przez

Seweryny Duchińskiej.

W pośród licznych dzieł, uwieńczonych w ubiegłym roku przez akademię francuzką, z szczególnem zajęciem czytaliśmy wspomnienia z podróży pani Bentzon do Stanów Zjednoczonych. Po raz czwarty już podobny zaszczyt akademicki spotyka utalentowaną autorkę, znaną zarówno na polu powieści, jak w dziale krytyki literackiej.

Z pomiędzy dwudziestu kilku tomów jej dzieł, ostatnie uwieńczone obecnie nosi tytuł: „Amerykanki u siebie." Są to wrażenia z podróży odbytej parę lat temu do Stanów Zjednoczonych. Autorka bada szczególniej psychologiczną stronę kobiety; nie występuje bynajmniej jako reformatorka społeczeństwa, opisuje stan rzeczy jak się jej oczom przedstawia. Są tu niewątpliwie i strony ujemne, ale nierównie więcej dodatnich; minęła już moda ekscentrycznych uniesień, kobieta dzisiejsza w Ameryce nie walczy o zdobycie praw, stara się przedewszystkiem rozszerzyć pole działalności i pracy w obrębie dla niej odpowiednim.

„Wiele już — mówi pani Bentzon — pisano o Amerykankach, przedstawiano je aż do przesytu w powieściach i na deskach teatralnych. Te światowe panie, rozpróżnowane, zamiłowane w zbytkach, szukające wrażeń na paryzkich bulwarach, w Monte-Carlo i modnych stacyach morskich, wszystkie wykrojone na jedną modłę, wszystkie wyobrażają to kosmopolityczne społeczeństwo, bez charakteru, bez piętna narodowego. Obok tych głośnych pań, są w Ameryce liczne warstwy kobiet, o których mi wiele mówiono. Jeśli mi kto zarzuci, że w wielkiej republice Stanów Zjednoczonych warstwy nie istnieją, odpowiem, że to sąd bardzo błędny. Oprócz różnicy zakreślonej większą lub mniejszą liczbą dolarów, widzę tu odcienia, jakie tworzy miejscowość i wychowanie."

Kobiety z obu stron oceanu patrzą na siebie z uprzedzeniem. W mniemaniu Francuzki, każda Amerykanka to jakaś ekscentryczna zbytnica; sądzą ją według turystek, jakie mają przed oczyma. Amerykanka znów najgorsze ma pojęcie o życiu i obyczajach Francuzek; wina w tem belletrystów dzisiejszych, którzy w powieściach i komedyach spotwarzają haniebnie kobietę. Cóż dziwnego, że panie oddzielone przestrzenią oceanu, biorą na seryo te skandaliczne obrazy i kładą je na karb całego społeczeństwa; pani Bentzon sądzi rzeczy bezstronnie.

Rozpoczęła ona objazd od Chicago, gdzie przybyła podczas wielkiej wystawy. Nie chcąc powtarzać tego, co roje korespondentów z dnia na dzień opisywało, zaznacza tylko działalność kobiecą na międzynarodowym popisie. Kosmopolityczne miasto Chicago, nie mogło wyrobić sobie jeszcze odrębnego piętna, brakło mu na to czasu. Szersze i wdzięczniejsze pole do badania znalazła pani Bentzon w Bostonie, najdłużej też zatrzymała się w tem ognisku światła, które dla Ameryki jest tem, czem były dla Grecyi Ateny. I my z przewodniczką naszą zatrzymajmy się w tej pięknej stolicy stanu Massachusetts, nad rzeką Charles River, szeroką niby odnoga morska. Jeśli inne miasta prześcignęły ogromem i liczbą ludności Boston, obejmujący zaledwie 500,000 mieszkańców, żadne za to pod względem rozwoju umysłowego i wytwornej ogłady, sprostać mu nie zdołało.

„Dawna część miasta — mówi autorka — przypomniała mi jakiś starodawny gród angielski; poziom tu nierówny, zapełniony budynkami różnych form i rozmiarów. Inaczej przedstawia się pyszna dzielnica Beacon-Street.

Boston niegdyś pierwszorzędne miasto Ameryki Północnej—główne centrum ruchu w sprawie wyzwolenia, dziś ma pozór prowincyonalnej stolicy, ale dla Bostończyków drogiem jest to ognisko narodowych pamiątek; oczy ich z miłością zwracają się na wyzłacaną kopułę Stadt-hauzu, gdzie zachowane ich trofea—na stary cmentarz, gdzie spoczywają kości bohaterów—patrzą oni z dumą na monument wzniesiony na wzgórzu, gdzie nowozaciężni ochotnicy oparli się wyćwiczonym regimentom angielskim. Wspomnienia *starodawne* ożywiają mieszkańców Bostonu, choć te *stare* czasy nie wiele sięgają poza wiek osiemnasty. Aby utrzymać ich pamięć w młodem pokoleniu, wyprawiają tu doroczny obchód. „Tego roku—mówi pani Bentzon — byłam obecną na takiej uroczystości w nocy z 18 na 19 Kwietnia. Obchodzono pamięć sławnego czynu Pawła Revere, kiedy fermierzy z Massachusetts pokonali armię angielską. W piękny wieczór wiosenny zapalono sygnały na dzwonnicy kościoła Christ-Chuick, tak samo jak w roku 1775, gdy Anglicy ciągnęli na miasto. Konny jeździec w odzieży ówczesnej, na czele zbrojnego tłumu przebiegał w cwał wielką przestrzeń, jak niegdyś Paweł Revere, powołując do broni uśpionych fermierów, którzy jak niegdyś, zerwali się rączo do zapasu. Odezwał się dzwon z wieży; na to hasło wszystkie dzwony okoliczne odpowiedziały chórem, a strzały zastąpił fajerwerk. Te pamiątkowe obchody obrażają Anglików. Boston przypominający dawne klęski stał się dla nich przedmiotem stuletniej niechęci; aby go upokorzyć podnoszą Chicago, które nie istniało w czasach walki.

Owe tak zwane Ateny amerykańskie wydały długi szereg ludzi słynnych na polu nauki i literatury. Dość tu wspomnieć Emersona, Longfellow'a i Hawthorna. Bostończycy chlubią się nimi; imiona ich powtarzają bezustanku, pamięć ich żywa jest dotąd w dzisiejszem pokoleniu. Domy gdzie się urodził Franklin i inni koryfeusze, ozdobione popiersiami i napisami. Ta cześć dla słynnych nieboszczyków, nadaje miastu dziwnie uroczystą cechę. Poszanowanie rozciąga się tu nie do samych tylko ludzi; w pięknym parku miejskim, w pośród stuletnich jesionów, był dwadzieścia lat temu jeden starszy od wszystkich; miejsce, gdzie ów olbrzym dawniejszy od miasta, rozpościerał konary, ogrodzone dzisiaj starannie—cień jego panuje nad Bostonem.

Jeśli stan Massachusetts pyszni się z mężów, których był kołyską, nie mniejsze ma prawo chlubić się z niewiast swoich. Małżonki Adams'ów, Knoksów, Hankoków dopomagały im energią i poświęceniem do tryumfu w czasach wyzwolenia. Jedna z nich pani Cusking, z całym zastępem towarzyszek odziewała się w skóry zwierząt, aby nie kupować wyrobów angielskich. Debora Samson zaciągnęła się do ochotników z Massachuset, inne poszły za jej przykładem. Podczas niedawnej wojny stanów północnych z południowymi, kobiety okazały też niesłychaną działalność. Towarzystwo Pań zebrało przeszło 300,000 dolarów na zasiłek dla armii północnej.

(Dokończenie nastąpi).



Z za rzek i mórz.

Jakie właściwie prawa rządzą wzrostem i zanikiem ras i szczepów—nie zbadała dotąd nauka. Pisze się w tej materyi wiele, mówi jeszcze więcej, ekonomiści i biologowie gromadzą materyały i starają się dojść do wyników. Statystyka przychodzi w pomoc ustawianiem całych kolumn cyfr dowcipniej lub mniej trafnie grupowanych, a mimo tych wszystkich prac i dociekań, nie możemy nawet orzec napewno dlaczego naprzykład płodność drapieżnego i sytego anglosaksona niższą jest, niż ogłodzonego przezeń w ścisłem znaczeniu tego słowa, Irlandczyka; dlaczego rozsiadły na złotodajnych ziemiach naród Arpada znika przyśpieszonym tempem z oblicza ziemi, a odepchnięty przezeń w nieurodzajne piaski słowianin mnoży się, rozradza i zagraża temu odwiecznemu ciemiężycielowi swojemu. Ze strachu też przez ową zagładą uciekł się już strwożony madziar do oportunistycznego pomysłu odświeżenia krwi swojej przymieszką pierwiastku semickiego, ale czy mu to wyjdzie na pożytek — czy też trafi tylko z deszczu pod rynnę, o tem będą się mogli twórcy małżeństw mieszanych z czasem dopiero dowiedzieć. Byłaby też to klęska nad klęskami prawdziwie, gdyby zamiast pożądanej żywotności, przyniósł świat żydowski do tej współki wszystkie swoje trądy i zgnilizny duchowe jedynie, a to jakieś prawo wyższe, nieodgadnione, tajemnicze, spełnić się miało mimo wszystkich przedsiębranych środków, i wbrew wszystkiemu, co tonący dla swego ratunku obmyślił. Tragicznej prawdziwie doniosłości byłaby taka nieodwołalność wyroków zapadłych nad plemionami ludzkiemi; wobec nich śmierć jednostek jest niczem zupełnie. W takich zagładach dopatruje przelękniony umysł człowieka jakichś wiekowych krzywd, widzi jakąś wielką likwidacyę nieznanej sprawiedliwości — dłoń mściwej Nemezis dziejowej, kreślącej rylcem swoim niecofnione: Byliście!

Pozytywne umysły ludzi nauki wywierają w takich razach wpływ wielce dodatni, nie dając się bowiem alarmować najwymowniejszym nawet wskazówkom, zwiastującym podobne schyłki i zaniki siły życiowej w danym narodzie, nie przestają dochodzić przyczyn i szukać środków zaradczych. Francuzcy socyologowie i moraliści sprawdziwszy, że taki a nie inny jest u nich istotnie stan rzeczy, wołają wielkim głosem do swoich: Przywróćcie wychowaniu dawną surowość, zreformujcie obyczaje; odradzając człowieka duchowo, wzmocnijcie jednocześnie jego fizyczność, a jeśli zdołacie w dodatku dać mu jako broń życiową małe wymagania, które mu zabrała cywilizacya współczesna, nie będziecie potrzebowali lękać się tego wszystkiego, co was w tej chwili tak bardzo o przyszłość niepokoi.

Może być, że w tych uspokajających zapewnieniach jest dużo słuszności — może jest nawet prawda cała i środek niechybny zarazem, niemniej faktem jest powszechnie znanym, że zagrożona jest Francya wyludnieniem stopniowem w tej chwili, i że nie wszyscy jej mężowie z równym spokojem spoglądają w przyszłość z tego powodu. Ma istotnie ten kraj w ustroju swoim państwowym i w instytucyach, i w obyczajach wiele bardzo stron ciemnych, ale znaczenie ich doniosłość w danej sprawie kwestyonować się daje z tego względu, że są społeczności blizkie, bo o ścianę graniczną od niej żyjące, wolne jednakże od zarzutów i obwinień obciążających Francyę, które na stopniowy, stały i systematyczny ubytek ludności, cierpieć również zaczynają. Do tych ostatnich zalicza się obecnie Szwajcarya, o której coraz więcej także pisać się zaczyna w dziennikarstwie europejskim. Poważne mianowicie przeglądy podają cyfry i roztrząsają przyczyny takiego stanu rzeczy.

Nie możemy tu podawać drobiazgowo całego przebiegu tego procesu rok za rokiem, ale weźmiemy trzy jego fazy w ciągu dwudziestolecia, mianowicie normę, punkt kulminacyjny wzrostu i upadek stopniowy. I tak w roku 1871 liczba urodzeń w Szwajcaryi wynosiła 81,629 głów. Wzrastając corocznie dała ona w roku 1877 cyfrę 92,861, a odtąd obniżając się systematycznie, zeszła w 1891 znowu na te 81,620 urodzeń.

Ponieważ objawu takiego nie można w żaden sposób odnieść do stopnia zepsucia obyczajów, jakie panuje we Francyi, ponieważ nie wolno złożyć go na militaryzm, od którego również wolną jest Szwajcarya, zajęto się tą sprawą w sferach właściwych i dzisiaj publicyści próbują go tłómaczyć w taki sposób:

Zmniejszaniu się liczby urodzeń podlegają wszystkie wogóle narody, które stanęły na pewnym stopniu cywilizacyjnego rozwoju, a to z przyczyn, które dają się podzielić na przyczyny natury materyalnej i inne wynikające z względów moralnych. Co do pierwszych, to po należytem zbadaniu warunków bytu epoki minionej i tych, wśród których żyjemy obecnie, musimy koniecznie przyjść do przekonania, że dziecko przestało być dla rodziców tem, czem było dawniej. Przed laty, zaledwie wyszedłszy z wieku nieporadności niemowlęcej, zaczynało dziecko rodziny ubogiej zarabiać na siebie; wiek chłopięcy—lat kilkunastu naprzykład, zastawał je nieledwie że zaspakajającem potrzeby własne, z pod władzy i kontroli rodzicielskiej nie wychodziło ono jednak zupełnie. Zmieniły się warunki z gruntu. Dziecko nie zależy od rodziców wyłącznie; państwo otacza go opieką swoją, myśli o jego umysłowym rozwoju i nawet na wsi, gdzie szkoła nie ma tych praw, jakich używa w mieście, nawet na wsi ustały w większej części zarobki dziecinne od czasu, jak obowiązującem się stało nauczanie przymusowe. Szkoła tedy zabiera dziecko i nie pozwala rodzicom ciągnąć przedwcześnie z jego pracy tych korzyści, jakie ciągnęli dawniej.

Niema już dzisiaj takich obskurantów, któryby złorzeczyli tak pojmowanemu dziełu postępu—niema takich, którzyby chcieli rzeczy nawrócić do dawnego porządku, ale należy i to zrozumieć, że w takim razie dziecko znacznie większym jest ciężarem dla rodziców, niż było przedtem. Ztąd większa oględność przy zawieraniu związków małżeńskich; konieczną ona jest — nieuniknioną nawet, i nikt jej dziwić się ani potępiać jej nie może.

Przyznać należy, że względy innej natury, te mianowicie, które nazwaliśmy moralnymi, odegrać tu mogły rolę niemniej ważną, niż trudności ekonomiczne. Ambicye jednostek i ambicye rodzin wzrosły niesłychanie. Człowiek przestał zadawalniać się miernością; nie może on obejść się tem, czem obchodził niegdyś, bo pewien stopień zbytku stał się obowiązującym dla zupełnie przeciętnego stanowiska w społeczeństwie. Z karyerą dzieci naszych patrzymy wysoko, bo pozornie mają one przystęp otwarty do wszystkiego, a jeśli nas wielka konkurencya przestrasza, to jedynym takiego przewidywania wynikiem praktycznym będzie porzucenie myśli o związkach małżeńskich w epoce, w której zabezpieczyć trudno jest bardzo los dziecka zgodnie z wymaganiami obowiązującemi każdą jednostkę oświeconą. Ztąd rozwaga i namysły ludzi, którzy rozumują i nie są skłonnymi do powierzania wszystkiego na łaskę ślepego przypadku.

Zdawałoby się, że w epoce, w której tak bardzo liczyć się musi ogół z trudnościami bytu materyalnego, troska o ten byt zaprzątać powinna nietylko umysły jednostek, ale i tych sfer, które w jakikolwiek sposób na losy zbiorowości wpływają — zatem sfer prawodawczych i rządzących. Tymczasem niekiedy wydaje się, jakoby zupełnie spuszczone były z uwagi te względy—jakoby ci kierownicy naw państwowych zapatrzeni w odległe miraże, poświęcali dla nich pracę pokoleń całych, utrudniając zaspokojenie potrzeb, wykluczając wszelką ideę oszczędności, a owszem powiększając budżety państw, aż do absurdu, aż do takich granic, poza któremi wolno już przypuszczać tylko kryzysy, przesilenia i katastrofy. Oto świeżo zebrał znany ekonomista francuzki Beaulieu cyfry budżetów Francyi, poczynając od roku 1869, t. j. od ostatnich lat II-go Cesarstwa. Znajdujemy tu rzeczywiście zestawienia nader pouczające. Otóż to Cesarstwo, którego lista cywilna tak złośliwie zawsze dyskutowaną bywała, ta dynastya takiego smutnego rozgłosu używająca z racyi swego marnotrawstwa, owe fundusze jej tajne z takiemi trudnościami przyznawane — to wszystko razem wzięte kosztowało Francyę tylko 1937 milionów franków rocznie. Od 1872 roku rośnie ten budżet, rosnie ciągle, zwiększa się, aż nareszcie dochodzi w roku ostatnim do przerażającej, bo blizko podwójnej kwoty, t. j. do 3 540 milionów franków. Tak jest! to militaryzm wywołał ten wielki wzrost ciężarów—każdy wie dobrze, że to on jest sprawcą tego narzucenia ogółowi owego niezmiernego wysiłku, ale ten wyraz jeden ani rozgrzesza, ani usprawiedliwia jeszcze, a tem mniej nie objaśnia, azali produkcya tego narodu wzrosła w takim stosunku, iżby obciążenia podobne mogły nie budzić na przyszłość wielkich obaw. Wyszła nawet broszura w ostatnim miesiącu. która wręcz przeciwnie twierdzi, a która bardzo zaniepokoiła umysły. Mówi ona o przepełnieniu Francyi cudzoziemcami wszelkich narodowości, o zmniejszonym wywozie, zamkniętych ryn-

kach zbytu, broszura opierająca się na cyfrach autentycznych, a w bardzo posępnych barwach przedstawiająca całość wewnętrznych stosunków, i co za tem idzie, przyszłość tego kraju. Pismo to przypisują p. Juliuszowi Lemaitre członkowi akademii francuzkiej, publicyście bardzo wybitnemu i używającemu znacznej powagi.

Od gnębiącej troski o byt powszedni, co prawda jednej z najpospolitszych i zarazem najdokuczliwszych dolegliwości ludzkich, przejdźmy odetchnąć innem powietrzem. Tu inna zupełnie atmosfera, odmienny kierunek umysłów i różny zupełnie nastrój dusz. Chcemy mówić o dziedzinie wiedzy, o pewnym jej zwłaszcza odłamie, który składają poszukiwania naukowe w krainach dotąd niezbadanych. Ani trudności i niepowodzenia poprzedników, ani oczywiste prawie niepodobieństwo przedarcia się do tego magicznego punktu rozpalającego wyobraźnie, który zowią biegunem północnym, nie mogą dotąd zniechęcić ludzi, z którymi można nieharmonizować się co do przedmiotu ich zabiegów, którym można zarzucać, że narażają życie swoje i setek ludzi dla himery czystej, ale którym szacunku szczególnego odmówić nie sposób. To są bądź co bądź fanatycy szczerzy i prawdziwi, a w naszej epoce fanatyk budzić musi podziw w najgorszym razie. Oto i teraz Walter Wellman, ktory w Czerwcu roku bieżącego wyrusza do bieguna północnego ofiarował się królowi szwedzkiemu z usługą zabrania na swój parowiec grupy jakiejś ludzi, którejby powierzono odszukania w krainach arktycznych Andrée'go i jego towarzyszów, w razie rozumie się, jeśli ci przed Czerwcem nie zjawią się sami, albo nie udzielą przynajmniej jakiejkolwiek o sobie wiadomości. Król, jak donosi „Revue scientifique," przyjął propozycyę.

Niezależnie od tej ekspedycyi podwójnej, kapitan marynarki Bernier przedstawił Towarzystwu Geograficznemu w Quebecu projekt nowej wyprawy do bieguna północnego. Zamierza on parowcem dotrzeć aż do punktu, w którym „Fram" Nansena przeciął 80-ty równoleżnik. Tam chce pozostawić swój okręt i posuwać się przez lody wraz z 80 ludźmi, przyczem zabiera 50 psów i 50 reniferów do przewożenia zapasów żywności na przeciąg czasu dwuletni. Różne inne jeszcze środki lokomocyi przysposabiają w tej wyprawie, poczynając od pierwotnych wielkich łyżew znanych w Skandynawii pod nazwą *ski*, kajaków specyalnej budowy do przeprawy przez przestrzenie wodne wśród lodowisk, aż do statku rozbieranego, zbudowanego z drzewa i aluminium. Kapitan Bernier spodziewa się dosięgnąć bieguna po upływie 100 dni, a powrót projektuje skierować przez Szpicberg i ziemię Franciszka Józefa. Wyprawa wyruszyłaby z Viktoryi przez cieśninę Behringa, tak, aby dostać się do wysp Syberyjskich we Wrześniu.

K.

KAMIONNA.

Obrazek z niedawnej przeszłości.

(Ciąg dalszy).

We dworze w Kamionnej. ojciec chodził nie starając się już nawet opanować wzruszenia, ani wlać otuchy otaczającym. Matka zamknęła się w pokoju klęcząca przed obrazem, tylko to dziewczę blade jak opłatek, ani trwożne było, ani wyczekujące już dzisiaj - owszem, głuche zupełnie na to, co przynosiły wieści służących, głuche na wszystko, co było dokoła.

— Czy ona wie coś więcej jak my wszyscy? — pytał sam siebie ojciec jej, drżąc od jakichś niepojętych przewidywań po raz pierwszy w życiu swojem. On drżał, a przecież o nim mawiali ludzie, że ongi nie drżał nigdy.

Zaskrzypiały drzwi wchodowe; kroki jakieś pojedyncze dały się słyszeć w sieni dworu, potem zatrzymały się raz, i drugi, potem znowu ktoś probował iść nieśmiało; jeszcze później nacisnął klamkę ten niewidzialny, i wresz cie ukazał się blady jakiś — człowiek żyjący czy duch - niewiadomo było doprawdy. Stał milczący, nikt go nie pytał, bo nikt pytać nie śmiał, wszyscy patrzyli z zatrzymanym w piersi oddechem, ale ona — ta biała gołąbka raz tylko jeden rzuciła okiem na twarz tej mary, która istotnie Hiobowe tylko przynosić mogła wieści, spojrzała i głosem spokojnym, bezdźwięcznym, głosem nie z tego już świata, jakby sądzić można, odezwała się:

— Tutaj—tędy niech go wniosą...

— Kogo wnieść mają—co mówisz dziecko? Bóg z tobą — rzucili się ku niej rodzice. A ona odsuwając ich od siebie, patrzyła tylko w tę sień ciemną, w której zniknął teraz on przychodzień nieznany, patrzyła, a potem wziąwszy świecę ze stołu powtórzyła swoje:

— Tędy—za mną chodźcie!

I jakgdyby z pod ziemi na jej wezwanie ukazały się cztery postacie zupełnie podobne do tego, który we drzwiach stał przed chwilą, i postępowały krokiem miarowym, a między nimi widać było nosze nakryte, i pod burką kształty jakieś — nie wiadomo co za kształty, Jużciż ludzkie musiały być chyba, chociaż nikt nie wiedział wtedy napewno.

Wiedziała ona jedna, bo ona ciałem nie była już na ziemi. Tacy widzą w ciemności, i słyszą, czego nie słyszy ucho żadne.

. . . .

Czy to koniec losów tego biednego dziewczęcia?—zapytacie czytelnicy.

Ach tak, koniec i jej, i jego, i tych starych dwojga, a nawet Kamionnej koniec, albo przynajmniej prawie że koniec. To co nastąpiło po tej nocy czarnej, to już było tylko chyleniem się do mogiły stopniowem wszystkich i wszystkiego.

Nie wierzcież gdy wam kto mówi, że się nie umiera z ran podobnych, bo ją ścięła niby kwiat łąkowy taka kosa, i ona z tej rany umarła.

Tylko że Bóg nie dał jej umrzeć odrazu, bo ciało ma bezlitosne prawa swoje, którym ulega, i trzyma w więzach swoich ducha długie dni jeszcze, chociaż ten duch oddawna z ziemi odleciał.

Za mękę wielką młodego życia, za trwogi i noce bezsenne, za pogrzebanie wszystkich miłości, dał Bog miłosierny jej istnieniu krótkiemu na ziemi koniec pogodny—niby zachód cichy po dniu pełnym burz i gromów. Oto nastrój tej duszy w odlocie, oto myśli, któremi żegnała matkę:

„Nie wiem dlaczego, lecz w ostatniej chwili
Inaczej patrzę na życia koleje
Serce już losom oprzeć się nie sili
Przebyta boleść cichnie i maleje
I wszystko znika nakształt snu przykrego
Który brzask dzienny na zawsze rozwieje
Chcé w oczach jeszcze pełno łez od niego.
. . . .
Dawniej zbyt często duch bólem miotany
Stawał oporem przeciw woli Bożej
Smutnych przeznaczeń żądając odmiany
I zwrotu szczęścia utraconej zorzy.
. . . .
Dziś gdyby anioł co stoi przedemną
Dał mi moc losem rozrządzać do woli
I po me szczęście wrócić w przeszłość ciemną
Jużbym nie chciała. Dusza gdy przeboli
Raz wszystkie ziemskie cierpienia serdeczne
Nie chce się nagiąć do znikomej doli
I tylko za tem wzdycha co już... wieczne.
. . . .
Z spokojem patrzę na tę postać drogą,
Co prowadziła mnie w słoneczne światy
. . . .
Z równym spokojem spoglądam na cienie,
Które zaćmiły mój obrazek złoty
Widzę noc czarną... trwogę... rozłączenie,
Próżne nadzieje, żale i tęsknoty
Nawet śmierć jego wspominam z spokojem
A z piersi żadne nie rwie się westchnienie
I łzy już żadnej niema w sercu mojem.

Woleliśmy wam czytelnicy o ostatnich chwilach na ziemi tego smutnego dziewczęcia opowiedzieć słowami tego, który bóle podobne pochwytał w pierś swoją natchnioną, aby je potem jedną wielką skargą wypłakać światu na otuchę dla żywych i ku pamięci tych, co w męce opuszczali życie.

Dużo widać skarg podobnych unosiło się nad głową pieśniarza, bo i to wam powiedzieć musimy, że nigdy, nigdy oczy jego nie oglądały tej Kamionnej, ukrytej hen w głębiach borów drzemiących.

O losach staruszków dwojga nie mamy nic do powiedzenia, boć losy takich osierociałych domyślne są dla każdego; dla Kamionnej natomiast może się słówko znajdzie jeszcze w tem opowiadaniu naszem.

— Zatrzymajże się człowieku! Pocztylion! czy ogłuchłeś? — wołałem na powożącego parą dobrych, bo z gubernialnej stacyi pochodzących, koni. Zatrzymajże się!—powtórzyć musiałem razy kilka, widząc, że albo głuchym jest ten człowiek w istocie, albo udaje głuchego.

Jakaś wiejska kobieta, odziana ciężkim tołubem goniła już przez kilkoro stai za bryczką, wołając proszącym głosem, aby ją zabrać, a była to pora taka, że pozostawienie jej na

szosie można było nazwać okrucieństwem chyba. Marcowy deszcz ze śniegiem ciął jak gdyby szkłem potłuczonem po twarzy—ciemno, godzina druga zaledwie po północy—nieszczęście tylko jakieś może zmusić człowieka do pieszej podróży w tę porę, i w pogodę podobną. Ale właśnie ta zapewne śnieżna zawieja, tak gderliwie usposobiła starego pocztyliona, że choć uległ w końcu rozkazującemu brzmieniu mego głosu, nie przestawał mruczeć sobie pod nosem:

— Bóg ją tam wie, zkąd ona, i gdzie się wlecze—może nawet nie w jedną stronę z nami, a zresztą choćby i tak, to co mi za niewola...

— Maruda z was ojciec i tyle! Obowiązek chrześcijański, a wreszcie kobiecina da wam na piwo.

— Oho! znam ja ich „na piwo." Płatniki one best...

— No, jak nie ona, to ja.

— Chyba że tak. No, matka, gramolić się!—mówił udobruchany w połowie, podając rękę kobiecie wspinającej się na oś przednią, ale czy to, że chciał usłudze swojej większą nadać wartość, czy też mrukliwy był z nawyknienia profesyjnego, więc spędzał resztę cierpkiego humoru swojego, przekomarzając się z kobietą, która sadowiła się teraz obok niego na koźle pocztowego, niezbyt obszernego wózka.

— Ho, ho! ale to z was machina... machina matulu! Bez jakich może paru funtów ze trzy centnarki sobie ważycie. Musi wam niczego być na świecie, kiedyście się tak rozmachali pod wasze lata.

— A jużci... niczego. Niechby wam aby tak dobrze nie było, jak mnie, to wam powiem za to dobre, coście mi teraz oto zrobili. Żeby nie wy i nie ten jakiś pan miłosierny, daj mu Boże wszystko najlepsze, za to, co was za mną uprosił, to przyszłoby mi uświergnąć na drodze. Psu, nie człowiekowi chrześcijańskiemu wlec się w noc taką i... za takiemi sprawami—dokończyła półgłosem.

Czy dosłyszał te ostatnie wyrazy pocztylion, czy może wzmagająca się w tej chwili dętka gwałtowna poniosła je het gdzieś w świat, nie dopuszczając do jego uszu—nie wiem, to pewna, że na mnie zrobiły one pewne wrażenie, i gdyby pora choć trochę była odpowiedniejszą, byłbym się wdał chętnie w pogawędkę, bo mnie wielkie niedole tej warstwy społecznej, zarówno jak jej drobne kłopoty i codzienne nawet troski życiowe zawsze zblizka obchodziły. Nie pora jednak była na rozmowę. Śnieg tumanami całymi sypał w twarz, tak, żeśmy wszyscy bokiem od wiatru obrócić się musieli, a konie pomimo że do prostego kierunku szosy nawykłe, zwracały się tak, iż co chwila koła wkraczały na pryzmy szabru po obu jej stronach usypane.

Tak to jakoś trwało przez godzinę jeszcze może, ale kiedym zapalając cygaro przy świetle zapałki, czwartą po północy na zegarku dopatrzył, cichnąć zaczynała tak zwana przez górali, fujawica, a gwiazdy tu i ówdzie przebłyskiwały tam, gdzie wiatr rozpędzając gwałtowniej chmury, szmat czystego nieba odsłaniał. W powietrzu czuć było ranny marcowy przymrozek, robiło się rzeźwiej i znośniej, to też otrzepując teraz śnieg z futrzanego kołnierza i sadowiąc się wygodniej i prościej, uczułem chęć pogwarzenia z temi ludźmi tuż obok siedzącemi. Wyręczyli mnie oni w tem jednakże sami, i mogłem nie siląc się na zapytania przysłuchiwać się teraz małej indagacyi, jaką stary bywalec pocztylion zozpoczynał ze swoją pasażerką narzuconą.

— Matka! daleko do was?

— Albo ja wiem gdzie my teraz.

— Dwie wiorsty bez czegoś mamy do Utraty.

— Ho, ho! to ja będę miała ze dwie mile z ogonem. A niech to będzie bez urazy, czy wy od Utraty dalej szosą?

— Bogać tam szosą! Toby pół biedy było, ale my zaraz od Utraty w prawo zwracamy, a tam, no! oddaj się Bogu—wleź w konopie! Nie jechałem ci ja po tych wertepach ze dwa lata chyba, to i nie wiem nawet jak to tam jest teraz, ale tak myślę, że psia nie ludzka droga musi być w taki roztop.

— To wy chyba ku R....icy?

— A dyż nie gdzieindziej tylko ku niej — żeby się zapadła.

— O mój Boże!

— I coście się tak uradowali? To niby takie szczęście, czy co?

— Szczęście—jużci niejednemu szczęście — choćby i mnie na ten przykład. Żeby tak na to mówiący pan pocztylion gniewny nie był, a chciał mnie jeszcze podwieźć, to jabym tam już pięknie podziękowała na miejscu.

— A zkądże wy?

Powiedziała mu widać nazwisko wioski czy miasteczka, alem nie dosłyszał, bo też mi ostatecznie tak wiele na tem nie zależało. Co prawda, w przewidywaniu drogi bardzo ciężkiej, wolałbym był nawet, żeby się moja protegowana wcześniej z nami pożegnała, ale raz zdecydowawszy się być wspaniałomyślnym, nie wypadało mi zdradzać podobnych życzeń, tembardziej gdy teraz obietnica zrobiona wyraźniej przez kobietę, pocztyliona na jej stronę stanowczo przejednywała. Oni tymczasem mówili półgłosem ze sobą, najwyraźniej targowali się o tę formę podziękowania, bo on kręcił głową, ona argumentowała, a w końcu widziałem, że przyjść musiało do porozumienia, bo usłyszałem z jego strony stanowcze:

— Tylko żeby nie było kręcenia żadnego, bo ja wypraktykowany jestem na to, i wolę powiedzieć odrazu, a nawet wiecie co, żeby się tam nie prawować przy ludziach i na uciechę obcym, to rozwiąż najlepiej gospodyni węzełek, i tu, ot tak po Bożemu, z ręki do ręki i będzie koniec.

Kobieta, jak to kobieta wiejska zwykle, bardzo pochopną do onego rozwiązania nie okazywała się, ale jak się przekonała, że on temu wahaniu przy samem skręcaniu w boczną drogę, zdecydowany jest położyć koniec, rada nie rada dobyła woreczka i coś tam jeszcze posprzeczawszy się trochę, rzecz między sobą załatwiono. Teraz on, jako człowiek przezorny, który na swojem postawił, stawał się uprzejmym i skłonnym do wymiany myśli, a ona przeciwnie, jako strona wyzyskana, którą odgadnięto i zmuszono do przyjęcia warunków, chmurna była i nierada bliższej znajomości.

Taką sobie ja przynajmniej na prędce zrobiłem obserwacyę. Nie minęło jednakże pół godziny, a nabrałem przekonania, że do podobnego zamknięcia się w milczeniu, mieć musiała towarzyszka naszej podróży jakieś głębsze własne pobudki. W jakiś czas zagabnął ją nasz powożący:

— Jakoś was, matko, musieli późno odstawić od piersi, bo mowę to macie przytrudną—he?

— Jak niema potrzeby, to i po co gębę studzić po próżnicy. Z tego nigdy nic dobrego nie urośnie. Żeby oni byli tak jak ja, toby całej biedy teraz nie było, i jabym się nieszczęśliwa sierota nie poniewierała teraz po świecie i nie świeciła oczami między ludźmi jak ostatnia jaka.

Tu nastąpiło głośne zaniesienie się od płaczu, w którem nie wiem czego było więcej,— rozżalenia istotnego, czy złości kobiecej.

— Oho! to źle — mruknął tonem szczerym, czy nieszczerym stary wyga, ale w każdym razie było w tym tonie coś, co bardzo przypominało współczucie. — Oho! to wam cościk dowodnie przypiekli ludzie. No, no! moi drodzy, wiem ci ja wiem, że to tak bywa na świecie. Wy ludziom chlebem, a oni wam za to kamieniem—wy drugiemu jak sobie samemu, a on wam psia para na zdradzie stoi.

— Bogać tam inaczej! Niech ich tam zła krew zaleje, żeby oni jasności niebieskiej nie oglądali, jak oni ich zakopali psie dusze. Stary jak stary; on sobie choćby w piekle da radę—jego rozumu nie uczyć, ale chłopczyna chudaczek na 18 rok ci mu się dopiero na św. Agnieszkę obróciło, a jużci go w taką koszulę ubrali, której nie zewlecze do końca życia. Żeby ich połamało — żeby z nich każdy krzyżem powlókł, zanim to słońce na niebie zejdzie dzisiaj, na moje nieszczęście.

Co prawda, że nie rozumiałem ani jednego słowa z tego, o co tej zapłakanej a złorzeczącej kobiecie chodziło, mój pocztylion jednakże pojętniejszym być musiał odemnie, bo głosem zdradzającym tym razem wysoki stopień zainteresowania i wtajemniczenia zarazem w ducha jej kłopotów, zaczął teraz pytać:

— W okręgowym sprawa?

— Jużci.

— To źle!

— Bogać tam dobrze.

— I na wiele?

— Stary na cztery lata, chłopiec na dwa bez kwartału.

— Apelowali?

— Jakżeby! I ponownie zaniosła się płaczem.

Zacząłem domyślać się i ja teraz o co chodzi i jakiego rodzaju były te kłopoty, ale nie wdając już się między nich, czekałem co tam jeszcze dalej będzie.

— A wiecie wy matka, że ja pewnikiem coś niecoś wiem o waszej biedzie. To ani chybi tylko to musi być z tego jenteresu Rudego Szmula? Ha jakże?—indagował pocztylion.

— Żeby on pogański syn jutra nie doczekał, żeby jego ziemia wyrzuciła—żeby jemu...

— No, a jemu co?

— Jemu? A co takiemu zrobią! Z wolności odpowiadał. Nie bójcie się! taki dobrze umie zamiatać za sobą. Jego nie dośladuje nikt.

— Widzicie no moi ludzie — biadał teraz melancholijnie pocztylion. — Jak to one pogany potrafią chrześcijańskiego człowieka zgubić. Nie mówiłem ja to zawsze, że z żydem niewiarą...

Słońce wschodziło właśnie nad długim rzędem nowych osad, ciągnących się ponad drogą szeroką; z koni podnosił się ciepły opar, a żeśmy właśnie koło jakiejś oberży przejeżdżali, oznajmił mi mój pocztylion, że koniom z jakieś pół godzinki wytchnąć musi. Może istotnie konie potrzebowały tego wypoczynku, ale i jego otrzymane miedziaki niepokoić musiały w kieszeni, i zapewne chciał je zamienić na jakieś płynne substancye, do których skłonność niepoślednią zdradzał nos jego rubinowy, o czem przy brzasku dnia przekonać się mogłem.

Ostygły zupełnie z sympatyi dla mojej towarzyszki i złorzeczący nieledwie niedołęztwu własnemu, które mi tyle już razy w życiu złe usługi oddawało, zeskoczyłem prędzej z wózka, aby się od pożegnań i podziękowań dosyć nieprzyjemnych, uwolnić. Wszedłem do izby szynkowej obszernej widnej, i czysto utrzymanej, w której zastałem dwoje tylko ludzi niemłodych—najwyraźniej gospodarzy tego przybytku. Ona stała poza kratkami, zkąd podawała ludziom przybywającym, to co posiadał zakład, on człowiek lat 60-ciu z górą, o fizyognomii starego żołnierza, patrzał przez okno na konie pocztowe i na tych dwoje, którzy się teraz w najlepszej komitywie rozstawali ze sobą.

Naraz odezwał się szynkarz do żony:

— Oho! patrzaj! nakryli ich.

— Kogo?

— A kogóżby? Jachimczyków!

— Może być?

— A jakże.

— A zkąd wiesz?

— A patrzajże! Dyć to ona sama wraca. Jak tylko sama — nie z nimi, to ich przycapili.

— Bogu niech będzie chwała — odpowiedziała kobieta.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA.

Zapisy dobroczynne.

P. Marya z Wolfinów Roeslerowa wdowa po zmarłym w dniu 25 Marca r. b. obywatelu i przemysłowcu ś. p. Józefie Roeslerze, złożyła na ręce Redakcyi „Kuryera Warszawskiego" summę 14,000 rs. której nadała przeznaczenie, jak wyrażono poniżej: Na wpisy dla uczniów 1,000 rs.—na Schronienie nauczycielek 3,000 rs.—na budowę domu dla sierot zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności do dyspozycyi p. Szymona Krzeczkowskiego 2,000 rs.—na przytułek sierot przy ul. Hożej nr. 74 do dyspozycyi p. Jadwigi Jantzenowej 1,000 rs.—na szpital dziecięcy do uznania dr. Sikorskiego, mianowicie na naglące potrzeby tej instytucyi 1,000 rs.—na przytułek pod wezwaniem św. Stanisława Kostki do unania Siostry Julii 1,000 r.—na Pogotowie ratunkowe do uznania zarządu 1,000 rs.—na oddział chirurgiczny szpitala Ewangelickiego do uznania dr. Stankiewicza 500 rs. — na kasy dla rzemieślników przy Warszawskiem Towarzystwie Dobroczynności zostające 500 rs.

P. Marya Roesler oświadczyła, że ofiary powyższe składa na życzenie swego zmarłego męża.

Wniesioną skargę o unieważnienie testamentu ś. p. Suchodolskiego rozpatrywał w ostatnim miesiącu Senat i rozstrzygnął ją na korzyść warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Dzięki temu, po śmierci dzisiejszego dożywotnika, którym jest brat rodzony testatora, przechodzą dobra Gościeradów na własność nieodwołalną instytucyi dobroczynnej tutejszej, co jest niesłychanie ważnem ze względu na wysoką wartość tego książęcego prawdziwie daru.

Zdrowie publiczne.

Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę lecznicy prywatnej lekarzy: Władysława Mączewskiego i Aleksandra Zięciakiewicza dla chorych na gardło, krtań, uszy i nos.

Zatwierdzona została również ustawa lecznicy okulistycznej d-ra Władysława Garlińskiego.

Trzecią koncesyę jaką udzieliło Ministeryum, dotycze wedle zapewnień „Warszawskiego Dniewnika" zawiązującego się w mieście naszem Towarzystwa Hygienicznego.

Pogotowie ratunkowe otrzymało z kasy miasta Warszawy stały zasiłek roczny w sumie 5000 rubli.

Szkoła i Wychowanie.

Mieszkańcy miasta Mławy udali się do p. kuratora Okręgu Naukowego Warszawskiego z prośbą o otwarcie w Mławie progimnazyum czteroklasowego Miasto, które liczy dzisiaj 1200 mieszkańców zadeklarowało fundusz na budowę gmachu szkolnego. Wątpliwości nie podlega, że szkoła tego typu jest dla Mławy konieczną, zarówno dla dzieci urzędników administracyi, drogi żelaznej i komory pogranicznej, jak niemniej i dla obywateli okolicznych gęsto rozsianej w Mławskiem własności ziemskiej. Jak zapewnia „Słowo" p. kurator Okręgu przyjął przychylnie prośbę deputacyi mieszkańców.

Kurator Szkoły Rolniczej Sobieszyńskiej podaje do wiadomości, że szkoła przyjmować będzie i nadal praktykantów życzących obeznać się z oddzielnemi gałęziami gospodarstwa wiejskiego. Wiek wymagalny poczynając od lat piętnastu. Kwalifikacya naukowa świadectwo: szkoły elementarnej, a przynajmniej złożenie egzaminu z nauki czytania i pisania. Przyjęcie może mieć miejsce w każdym czasie. Rada pedagogiczna zdecydowała oznaczenie na rok bieżący 10 wakujących miejsc dla takich praktykantów. Opłata za mieszkanie, stół i pranie miesięcznie rs. 3. Najbliższe stacye kolejowe są: Iwangród na drodze Nadwiślańskiej odległy od Sobieszyna wiorst 25 i Ryki na drodze Iwangrodzko-Łukowskiej położone o wiorst 14.

Informacye.

Podług wyjaśnienia Ministeryum Oświaty, uczniowie klasy VI gimnazyów w razie słabego zdrowia mogą przechodzić do klasy VII bez egzaminów ogólnych, oprócz jedynie egzaminu piśmiennego z języków starożytnych.

Wbrew obiegającym pogłoskom, liczba aptek w Warszawie oprócz dwóch świeżo otworzonych, powiększoną nie będzie. Osoby, które wystąpiły z podaniami celem uzyskania koncesyi na nowe apteki, otrzymały już odpowiedzi odmowne.

„Wiek" zawiadamia w nr. 83, iż fundusz potrzebny na urządzenie bibliotek ludowych ma być czerpany z kredytu wyznaczonego przez Skarb Państwa na kuratorya trzeźwości.

Wskazówki i rady.

Babka piaskowa na proszkach burzących.

Pół funta młodego masła utrzeć w donicy na śmietanę, następnie dodawać po jednem całem jajku, po łyżce pszennej mąki i łyżce cukru, których także powinno być po pół funta, cukru może być nawet 20 łutów, w którym powinien być kawałek wanilii tłuczonej. Gdy wyjdzie siedem jaj całych, mąka i cukier, rozcierając całe pół godziny, wsypać cztery gramy sody i cztery gramy kwasu winnego w tej chwili ciasto zgęstnieje—należy go zlekka wymieszać, ale tak dobrze, żeby się proszki z ciastem dobrze połączyły — włożyć w wysmarowany rondel lub formę blaszaną z dziurą w środku, bo taka babka powinna się szybko piec, i wstawić pod blachę angielskiej kuchni w gorący piec, do którego włożyć dwa kawałki drzewa, bo bez drzewa się ciasto nie zrumieni i prędko nie upiecze. Co pięć minut dokładać po kawałku drzewa — a w piecu stać powinna pół godziny mniej więcej — należy jednak zobaczyć słomką czy upieczona, jeżeli słomka wyjęta sucha, to upieczona.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Fr. Kr. Wszelkie formy wykrawa pracownia Maison Phenix, Niecała nr. 12.

Pani Janina P. Cen wszystkich form niepodobna wyliczać, zależy od wielkości i wykończenia. Może Pani obstalować listownie podług nadesłanej dobrej miary. Gładka spódnica od rs. 1 do 1—50 kop.; pelerynka od 50 kop. do 1 rs.; płaszczyk 1—20 do 2 rs. Adres jak wyżej.

Pani Marya Z. O wykrojenie form radzimy zwrócić się do Maison Phenix, Niecała 12. Wskazówki i rady oddane już przeszłym razem.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Bracka 13. Meble bambusowe „MAISON NIPON” Najtańsze i najładniejsze. Bracka 13

Przedmioty Gospodarstwa Domowego *Jerozolimska 72* **MAGAZYN „METROPOL”** Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo *Jerozolimska 72* 766—50-29

SKŁAD ROWERÓW i MASZYN DO SZYCIA ✿ **ROBERT WILCZYŃSKI**

810—50—10 **ceny możliwie umiarkowane.** LESZNO Nr. 12.

Gabinet-dentystyczny.
ze specyalną pracownią do wstawiania
ZĘBÓW SZTUCZNYCH
od 1 do 10 rub. za sztukę
818-52-7 **przyjęcie od 9 do 6:**
Chmielna N-r 16. m. 4.

WYPOŻYCZALNIA (CZYTELNIA)
KSIĄŻEK
polskich i francuskich
przy Księgarni Sortymentowej i Składzie Nut **MAURYCEGO ORGELBRANDA, M. Machwitz** w Warszawie, naprzeciw posągu Kopernika. Wysyła się i na prowincyę. 748—25-21

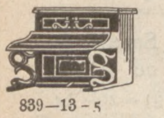
Nowo-otworzony Magazyn Mód
L. ZIELIŃSKA
ul. NIECAŁA 11, I piętro. 692-40-33

FORTEPIANY nowego systemu
po cenie pianin poleca
W. BRAWECKI
b. współpracownik firmy **Krall i Seidler**
Jerozolimska 49.
Przyjmuje reparacye i strojenie po cenach przystępnych. 826—12—6

Dla Pań malujących
Farby, Przybory Artystyczno-Malarskie, Wzory, Szkice, Rzeźby i t. p. poleca Skład
T. CZARNOCKIEGO
101, Marszałkowska 101,
w WARSZAWIE. 812-50-10

Welocypedy dziecinne,
Wózki dziecinne, 843—12—4
Fotele dla chorych
w najlepszym gatunku,
Wszelkie reperacye najtaniej poleca
NOWO-OTWORZONA PRACOWNIA
Stanisława KŁYSZEWSKIEGO
Aleja Ujazdowska № 17.

Fabryka Kwiatów sztucznych
Wróblewskiej
Marszałkowska 140, m. 5,
poleca piękne wyroby, tak balowe, jako też i kapeluszowe, po cenach bardzo przystępnych. 808—13—10



FABRYKA
PIANIN
839—13—5
Ludwik Hildt (Syn)
Nowogrodzka № 11.

Kazimiera Falkowska
otworzyła 825—12—6
MAGAZYN SUKIEN
i Okryć Damskich
ul. Królewska 29a,
przyjmuje wszelkie obstalunki, wykończenie akuratne. Ceny umiarkowane.

KWIATY SZTUCZNE
tylko w dobrym gatunku
848—4—2 Zielna 6m. 8

ZOFIA PIETKIEWICZ
b. uczenica Hersego przeniosła
Pracownię Sukien Damskich
835—6—5 z BIELAŃSKIEJ 7
na Plac Teatralny №. 9,
dom Stempkowskiego, drugie piętro, front.

SPECYALNY ZAKŁAD
Reparacyi maszyn do szycia
W. KALINOWSKI
Wspólna Nr. 15 785-50-17

Pracownia Gorsetów Estetyczno-Hygienicznych
oraz Szelek do prostego trzymania
„EUGENII”
Obstalunki wykonywa w 12 godz. Przyjmuje do prania i reperacyi. **Ceny przystępne.**
637-12-5 **Warszawa, Nowy-Świat 16.**

Są do nabycia w księgarniach podręczniki naukowe pedagoga **Reussnera** p. t.

Najlepsza Metoda

najłatwiejsza do **bardzo prędkiego** a **gruntownego** nauczenia się **Języków Obcych bez nauczyciela,** z objaśnieniem **wymowy** i z **Kluczem** na końcu każdego dzieła:

„Samouczek” **Polsko-Niemiecki,** kurs wstępny **(Elementarz)** po kop. 10, 20, 35; — kurs I-szy kop. 60,—kurs II-gi kop. 1.60, — komplet (oba kursy) kop. 2.00; **Rusko-Niemiecki Samouczek** po kop. 10, 20, 35 i 2.70.

„Samouczek” **Polsko-Francuski,** kurs I-y 13 zeszytów, kurs II-gi 24 zesz. Gramatyka Polsko-Francuska 10 zesz. po 15 kop. (pocztą 18 k.); na zaliczkę wysyła się tylko **20, 10** lub przynajmniej **6** zeszytów.

Kurs I-y z drugiej edycyi w całym tomie kosztuje rs. 1 k. 20 (pocztą rs. 1 k. 35). Każdy nabywający wszystkie **47 zeszytów „Samouczka” Francuskiego** wprost **od autora,** otrzyma jako **bezpłatne premium** dzieło wartości rs 1 k. 20.

„Samouczek” **Polsko-Angielski** kurs I-szy kop. 75,— kurs II-gi kop. 1.20, komplet kop. 1.70.

„Samouczek” **Polsko-Ruski** z wymową i akcentowaniem wychodzi zeszytami po 10 kop. (pocztą 13 kop.).

„Samouczek” Francuski i Ruski został opracowany i wydany tylko wskutek usilnego domagania się Szan. Publiczności i pp. Pedagogów.

Amerykański **Przewodnik** z rozmówkami angielskiemi, wydanie II-ie znacznie powiększone, 50 kop.

„Samouki Wielcy ludzie”, t. j. 33 życiorysy najsławniejszych ludzi z 16 rycinami, 80 kop., w oprawie rs. 1 k. 50.

Petöfi Aleksander, król poetów węgierskich, wieszcz nieśmiertelny, bożyszcze narodu madziarskiego, poeta nad poetami. Kop. 70, opr. rs. 1 k. 20.

Elementarz Polski z wzorkami pisma i rysunków i z obrazkami **(741 figur)** po 4, 15, i 25 kop.

Na przesyłkę pocztową dolicza się 20 kop. do każdego rubla. — Skład u autora **(Reussnera),** Złota 6, Warszawa. 795—11-6

Wincenty Węgierski
Freta Nr. 13
Długoletni współpracownik firmy
B. HERSE
otworzył pracownię
Sukien i Okryć damskich
854-26-1

MAGAZYN MÓD
i Pracownia Sukien
J. Królikowskiej
Niecała № 7, Marszałkowska № 114.
Polecają najnowsze fasony na każdy sezon po cenach umiarkowanych. 726—25-14

Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.



PUDER IRIS
jedynie nieszkodliwy,
dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs.**
Pudełko kop. 15, 30 i 50.
708—40-15

MAGAZYN MÓD
Maryi Gajewskiej
853-6-1 W WARSZAWIE.
ulica Podwal Nr. 16.
poleca wielki wybór kapeluszy po cenach umiarkowanych.

Po dziesięcioletniej praktyce w pierwszej haftarni Panny Bobrowskiej, otworzyłam pracownię haftów i przyjmuję roboty maszynowe i ręczne. 759-24-11
Miodowa Nr. 1.
miesz. 17, 2 brama 1 piętro

PRACOWNIA
Konfekcyj Damskich
Złota 25, mieszkania 6 (front).
Przyjmuje obstalunki oraz wykonywa gotowe fasony z własnych materyałów od 18 do 25 rs. 745-12-12

Zaprawy do podłóg, Farby, Lakiery
poleca **HENRYK OSIŃSKI**
Miodowa 12, wprost Sądu Okręgowego, w Warszawie. 690-25-17

ZAKŁAD GALWANICZNY L. Kardaszyńskiego
ulica Czysta Nr. 8 w Warszawie.
Przyjmuje do reperacyi i odnawiania wszelkie wyroby **z różnych metali** po możliwie **nizkich cenach.** Stołowa robota z 2-letnią piśmienną gwarancyą. 760—25—11

FABRYKA SZCZOTEK i PĘDZLI
M. TENCERA
WARSZAWA, Krakowskie-Przedmieście Nr. 39 (obok hotelu Saskiego).
Sprzedaż hurtowa i detaliczna po cenach umiarkowanych. 671—50-40

Nowootworzony Magazyn
803—13—12 Braci JACOBSOHN, *Długa 53.* poleca
KWIATY sztuczne podług najświeższych francuskich modeli, pióra fantazyjne i strusie oraz ***wstążki jedwabne.***

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE
Felicyi Ginejko przy zakładzie froebolwskim *Jadwigi Chrząszczewskiej*
w Warszawie, Nowy-Świat 21. 804-8-1

Składy Nici, Galanteryi i towarów Norymbergskich
ALOIZY LUDWIG
W WARSZAWIE. 790-12-8
Skład Główny ulica Senatorska Nr. 6. Filia Marszałkowska Nr. 119

KWIATY SZTUCZNE poleca
• **M. CIECHANOW** •
Elektoralna 31. 822—15—5

WIEDEŃSKA FABRYKA
Kapeluszy Słomkowych i Filcowych
838-6 4 **STANISŁAWA BERBIES**
Nowy Swiat 59, w Warszawie.
Fabryka sprzedaje hurtowo i detalicznie, a także przyjmuje kapelusze do odświeżania i przefasonowywania na najświeższe fasony zagraniczne po cenach fabrycznych.

Najtańsza, najłatwiejsza i najprędsza w świecie nauka kroju

Sukien, Okryć damskich i dziecinnych, bez rysowania form, systemem Kazimierza Lewańskiego, za cały aparat, rozsuwany na wszystkie figury, począwszy od dziecinnej, aż do najotylszej, wraz z objaśnieniami, płaci się **tylko rs. 5.** Do każdej miejscowości Królestwa wysyła się nauczyciela, lecz nie inaczej, jak do czterech osób, za opłatą **tylko rs. 6.** Jedna osoba może być informowana za pomocą korespondencyj. Osobom nieczasowym udziela się wskazówek wieczorami.—Tamże wykonywają się Okrycia damskie przez 834—12-3 specyalistów wykwalifikowanych za granicą. **Królewska 17.**

KUPNO SPRZEDAŻ I REPERACYA *używanych maszyn do szycia*
J. HEIMAN, 851-12-2
Przechodnia 8, tel. 874.